



BARBARA KINGSOLVER

LAUREATKA NAGRODY PULITZERA I DWUKROTNA ZDOBYWCZYNI
WOMEN'S PRIZE FOR FICTION

BIBLIA JADOWITEGO DRZEWA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE POISONWOOD BIBLE

Copyright © Barbara Kingsolver 1998
Published by arrangement with Frances Goldin Literary Agency, Inc., through Graal Sp. z o.o.
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Tomasz Bieroń 2002

Korekta: Dorota Jakubowska, Piotr Królak

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: natalkam777/Freepik (*motywy afrykańskie 1*);
macrovector/Freepik (*motywy afrykańskie 2*); Freepik (*wąż*);
VectorMass Studio/Freepik (*drzewo*); pch.vector/Freepik i pikisuperstar/Freepik (*papuga*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



WYOBRAŹ SOBIE RUINĘ TAK DZIWNĄ, że nie mogła się wydarzyć.

Najpierw przedstaw sobie las. Chcę, żebyś była jego sumieniem, oczami na drzewach. Drzewa to słupy śliskiej, moregowatej kory, podobne do muskularnych, przerośniętych ponad wszelką miarę zwierząt. Każda przestrzeń pulsuje życiem: delikatne, jadowite ropuchy pomalowane w szkieletowate barwy wojenne, szcepione w kopulacji, wydzielają cenne jajka na ociekające liście. Liany duszą swych bliskich w wiecznej walce o światło słoneczne. Oddech małp. Ślizg brzucha węża na gałęzi. Maszerująca gęsiego armia mrówek wygrza z mamuciego drzewa jednakowe okruchy i wlecze w ciemności do swej żarłocznej królowej. W odpowiedzi chór młodych pędów wyciąga szyje ze spróchniałych pniaków drzew, wysysa życie ze śmierci. Ten las zjada sam siebie i żyje wiecznie.

Ścieżką w dole idą gęsiego kobieta i cztery dziewczynki, wszystkie w szmizjerkach. Widziane z góry są bladymi, skazanymi na pożarcie pąkami, budzącymi nieodparte współczucie. Bądź ostrożna. Później zdecydujesz, na ile współczucia zasługują. Zwłaszcza matka – spójrz, jak je prowadzi, bladooka, stanowcza. Ciemne włosy ma przewiązane potarganą chustką z koronki, a krzywiznę jej zuchwy rozświetlają kolczyki ze sztucznych pereł, jakby te reflektory z innego świata mogły pokazać drogę. Córki maszerują za nią; cztery dziewczynki wciśnięte w ciała naprężone jak cięciwy, gotowe wystrzelić z siebie kobiecym sercem, każde na innej drodze do chwały lub potępienia. Nawet teraz wypierają się pokrewieństwa jak koty w worku: w środku dwie blondynki – jedna niska i gwałtowna, druga wysoka i władcza – na zewnątrz po jednej brunetce bliźniaczce; bliźniaczka na czele rwie wygłodniałym krokiem

do przodu, a ta zamykająca tyły zamiata ziemię rytmicznym utykaniem. Dosyć sprawnie jednak przeskakują cuchnące zgniłe pnie, które upadły w poprzek ścieżki. Matka z wdziękiem rozgarnia ręką kolejne zasłony pajęczyn. Wygląda, jakby dyrygowała orkiestrą symfoniczną. Po ich przejściu zasłony zamykają się. Pająki powracają do swych morderczych praktyk.

Nad brzegiem strumienia matka rozdaje mało wymyślny prowiant, który składa się ze zbitego w gęstą masę, kruszącego się chleba z odrobiną rozgniecionych orzechów ziemnych i plasterków plantanów. Po miesiącach życia w umiarkowanym głodzie dzieci nie pamiętają już o tym, żeby narzekać na jedzenie. Połykają w milczeniu, strzepując okruszki i dają się unieść nurtowi w dół strumienia, żeby popływać w bardziej wartkiej wodzie. Matka zostaje sama w zagajniku olbrzymich drzew koło rozlewiska. To miejsce jest dla niej równie znajome jak salon w domu życia, na jaki nigdy nie liczyła. Odpoczywa niepewnie w ciszy, patrzy, jak mrówki kłębią się czarno wokół okruszków lunchu, który już na początku wydawał się niewyobrażalnie skąpy. Zawsze jest ktoś bardziej głodny niż jej dzieci. Matka podwija sukienkę pod nogi i ogląda swe biedne, nieopierzone stopy leżące w trawiastym gnieździe na skraju wody; dwa ptaki, które nie są w stanie stamtąd odfrunąć, uciec od nadchodzącej – ma tego świadomość – katastrofy. Może stracić wszystko: siebie, a co gorsza, swoje dzieci. A co najgorsze: ciebie, jej jedyny sekret. Jej ulubieńca. Czy jakakolwiek matka potrafiłaby żyć, czując się winna?

Jest nieludzko sama. A potem, nagle, przestaje być sama. Po drugiej stronie wody stoi piękne zwierzę. Podnoszą wzrok znad swego życia, kobieta i zwierzę, w zdumieniu, że znajdują się w tym samym miejscu. Zwierz zastyga, nasłuchuje uszami z czarnymi czubkami. Grzbiet, purpurowobrązowy w przytłumionym świetle, opada w dół od łagodnego wzgórka karku. Cienie lasu kładą się liniami na bokach prążkowanych w białe pasy. Sztwyne przednie łapy są rozstawione na boki jak szczudła, ponieważ zwierz został złapany w chwili sięgania w dół po wodę. Nie odrywając oczu od kobiety, szarpie nieznacznie kolanem, potem karkiem, gdzie dokucza mu mucha. Wreszcie przewycięża zaskoczenie, odwraca wzrok, pije. Matka czuje dotyk jego długiego, zwiniętego w trąbkę języka na skórze wody, jakby zwierz pił jej z ręki. Głowa trochę podskakuje, a razem z nią małe, aksamitne rogi, od tyłu białe jak młode liście.

To trwało zaledwie chwilę, czymkolwiek było. Jeden wstrzymany oddech? Popołudnie mrówki? To było krótkie, tyle mogę powiedzieć na pewno, bo chociaż minęło wiele lat, odkąd dzieci rządziły moim życiem, matka pamięta, ile trwały okresy ciszy. Nigdy nie miałam więcej niż pięciu minut niezmaconego spokoju. Oczywiście to ja byłam tą kobietą nad brzegiem strumienia. Orleanna Price, baptystka po mężu, matka dzieci żyjących i nieżyjących. Tylko ten jeden raz samiec okapi przyszedł nad strumień i tylko ja go widziałam.

Nazwę tego, co widziałam, poznałam dopiero parę lat później w Atlancie, kiedy na jakiś czas zagrzebałam się w bibliotece publicznej, sądząc, że każde pęknięcie na duszy można zalepić za pomocą książki. Przeczytałam, że samiec okapi jest mniejszy od samicy i bardziej płochliwy oraz że ponad to niewiele o nich wiadomo. Przez setki lat w dolinie rzeki Kongo ludzie mówili o tym pięknym, dziwnym zwierzęciu. Kiedy usłyszeli o nich europejscy odkrywcy, uznali je za mityczne: jednorozec. Jeszcze jedna bajka, która wyszła z mrocznej krainy zatrutych strzał i przekłutych kośćmi warg. Potem, w latach dwudziestych XX stulecia, kiedy w innych stronach świata mężczyźni zrobili sobie przerwę w wojowaniu, żeby udoskonalić samolot i samochód, wzrok białego człowieka nareszcie spoczął na okapi. Wyobrażam go sobie, jak szpieguje tego zwierza przez lornetkę, bierze go na muszkę, jakby należał do niego. Cała ich rodzina mieszka obecnie w nowojorskim Muzeum Historii Naturalnej, martwa i wypchana, z powściągliwymi szklanymi oczami. Nauka uznała zatem okapi za realnie istniejące zwierzę. Tylko tyle, realnie istniejące, nie mityczne. Taka koniowata gazela, spokrewniona z żyrafą.

Ale przecież ja nie jestem taka głupia, i ty też. Te szklane muzealne spojrzenia nie mają nic wspólnego z tobą, moim nieoswojonym ulubionym dzieckiem, tak dzikim, jak dzień jest długi. Twoje jasne oczy patrzą na mnie nieustannie, w imieniu żywych i umarłych. Więc zajmij miejsce. Spójrz na to, co się wydarzyło, z każdej strony i rozważ wszystkie inne drogi, jakimi to mogło się potoczyć. Wyobraź sobie nawet, że Afryka nie została podbita. Wyobraź sobie tych pierwszych portugalskich poszukiwaczy przygód, którzy zbliżają się do wybrzeża, lustrują skraj dżungli swymi mosiężnymi lunetami. Wyobraź sobie, że zstąpił na nich cud zgrozy lub czci, a potem opuścili lunety, odwrócili się, przebrasowali żagle, odpłynęli. Wyobraź sobie, że wszyscy, którzy przybyli

później, postąpili tak samo. Jaka byłaby dzisiaj Afryka? Wszystko, co przychodzi mi do głowy, to owo inne okapi, to, w które niegdyś wierzyli. Jednorożec, który potrafił spojrzeć ci w oczy.

ROKU PAŃSKIEGO 1960 MAŁPA pędziła przez przestrzeń kosmiczną w amerykańskiej rakiecie, młodzieniec o nazwisku Kennedy wysadził z siodła paternalistycznego generała, na którego mówiono Ike, a cały świat obracał się wokół osi zwanej Kongiem. Małpa szybowiała w górze, a w bardziej przyziemnych sferach mężczyźni targowali się za zamkniętymi drzwiami o skarb Konga. Lecz ja tam byłam. Na samym czubku tej szpilki.

Wyrzuciły mnie tam fale śmiałości męża i przybój potrzeb dzieci. Taki miałam pretekst, choć żadne z nich mnie aż tak bardzo nie potrzebowało. Moja pierworodna i mała od początku próbowały zrzucić mnie z siebie jak zbędną skorupę, a bliźniaczki urodziły się z darem przenikliwego wewnętrznego widzenia, które pozwalało im patrzeć wskoś mnie na bardziej interesujące rzeczy. A mąż, cóż, strzeż nas, Panie Boże, przed baptystowskimi pastorami. Wysłałam za mężczyznę, który chyba nie był w stanie mnie kochać. Zaszкодziłoby to jego umiłowaniu całej ludzkości. Pozostałam jego żoną, ponieważ była to jedyna rzecz, którą potrafiłam robić każdego dnia. Córki mawiały: „Widzisz, mammo, nie miałaś własnego życia”.

Bzdura. Ma się tylko własne życie.

Widziałam rzeczy, o których nigdy się nie dowiedzą. Widziałam rodzinę ptaków tkaczy, która przez wiele miesięcy budowała gniazdo, aż wreszcie stało się ono taką monstrualną kupą patyków, potomstwa i nonsensu, że całe drzewo runęło z hukiem pod jej ciężarem. Nigdy nie powiedziałam o tym mężowi ani dzieciom. Tak więc sama widzisz. Mam swoją historię, która na starość coraz bardziej mi ciąży. Teraz, kiedy każda zmiana pogody świszczy bólem w moich kościach, wiercę się w łóżku, a wspomnienia wzlatują z bzykiem jak muchy z padliny. Chciałabym się ich pozbyć, lecz robię to ostrożnie, wybieram, które można bezpiecznie ekshumować. Chcę, żebyś uznała mnie za niewinną. Tak samo mocno, jak tęskniłam za twoim małym, odeszłym ciałkiem, teraz chcę, żebyś przestała w nocy głaskać mnie od wewnątrz opuszkami palców. Przestań szeptać. Twoja ocena będzie dla mnie wyrokiem życia

lub śmierci, ale najpierw pozwól mi powiedzieć, kim jestem. Pozwól mi powiedzieć, że Afryka i ja przez jakiś czas dotrzymywałyśmy sobie towarzystwa, a potem nasze drogi się rozeszły, jakbyśmy obie żyły w nieudanych związkach. Albo inaczej, powiedzmy, że zaraziłam się Afryką jak rzadką chorobą, z której nie do końca wyzdrowiałam. Może nawet wyznam, że cwałowałam z jeźdźcami apokalipsy, lecz wciąż będę się upierać, że byłam tylko zniewolonym świadkiem. Czym jest żona zdobywcy, jeśli nie samym podbojem? A skoro już o tym mowa, to kim jest on sam? Kiedy jedzie pokonać nietknięte plemiona, nie uważasz, że one padają na ziemię z pożądania przed tymi błękitnymi jak niebo oczami? Że pragną tych koni, tych strzelb? Tak właśnie odkrywamy historii, zawsze, zawsze. Nie byłam sama, zbrodnie popełniano we wszystkich zakątkach kontynentu, a ja miałam swoje gęby do wykarmienia. Nie wiedziałam. Nie miałam własnego życia.

Ty powiesz, że miałam. Powiesz, że przesłam przez Afrykę z rękami nieskutnymi kajdanami, a teraz jestem jeszcze jedną duszą, która chodzi na wolności w białej skórze, nosi jakieś włókno ukradzionych dóbr: bawełnę lub diament, a przynajmniej swobodę, dostatek. Niektórzy z nas wiedzą, jak doszliśmy do fortuny, a niektórzy nie, ale i tak wszyscy nosimy jej atrybuty. Jest tylko jedno pytanie, które warto teraz zadać: jak zamierzamy z tym żyć?

Znam ludzi i ich sposoby myślenia. Większość z nich przemknie od kołyski do grobu z sumieniem czystym jak śnieg. Łatwo jest wytykać palcem innych, wygodnie dla nas nieżywych, zaczynając od tych, którzy jako pierwsi kopali łopatami błoto nad brzegami rzek, żeby poczuć zapach źródła. Weźmy „doktora Livingstone’a, jak tuszę” – czyż nie był z niego łajdak? On i wszyscy wyzyskiwacze, którzy później porzucili Afrykę, tak jak mąż porzuca żonę, zostawiają ją z nagim ciałem zwinętym dokoła wyeksploatowanej kopalni jej łona. Znam ludzi. Większość z nich nie ma realistycznego wyobrażenia o cenie czystego jak śnieg sumienia.

Nie różniłabym się od innych, gdybym nie opłaciła mojego skromnego udziału krwią. Bezmyślnie deptałam Afrykę, maszerując od natchnionych przez Boga początków naszej rodziny aż po nasz straszny koniec. Uważam, że pomiędzy początkiem a końcem, pośród tych wszystkich parujących nocy i ciemno zabarwionych dni pachnących ziemią, było jakieś solidne jądro nauki. Czasem prawie potrafię ją

sformułować. Gdybym potrafiła, rzuciłabym ją innym, niestety, chyba ze szkodą dla ich spokoju ducha. Zwaliłabym tę straszną historię z ramion, rozpląszczyła, naszkicowała nasze zbrodnie jak nieudany plan bitwy i sypnęła tym w twarz bliźnim, którzy już mają mnie dosyć. Ale Afryka przesuwła mi się pod rękami, nie chcąc uczestniczyć w nieudanych związkach. Odmawia jakiegokolwiek przyporządkowania, chce być tylko sobą: królestwem zwierząt, które bruździ w królestwie chwały. A zatem zajmij miejsce. Nie zostawiaj nawiedzanej przez duchy starej babie nic, czym mogłaby zakłócić spokój. Nic prócz jej własnego życia.

Naszym dążeniem było zaledwie zapanowanie nad wszystkimi stworzeniami, które żyją na tej ziemi. I stało się, że zstąpiliśmy do tej krainy, którą uważaliśmy za nieukształtowaną, w której tylko ciemność unosiła się nad wodami. Teraz śmiejesz się, dzień i noc, ogryzając moje kości. Ale co innego mogliśmy myśleć? Tylko że wszystko zaczynało się i kończyło na nas. Co wiemy, nawet teraz? Spytaj dzieci. Spójrz, na kogo wyrosły. Możemy mówić tylko o rzeczach, które zabrałyśmy ze sobą, i o rzeczach, które wywiozłyśmy.

RZECZY, KTÓRE ZABRAŁYŚMY ZE SOBĄ

Kilanga, 1959

Lea Price

PRZYBYŁYŚMY Z BETHLEHEM, w stanie Georgia, niosąc do dżungli torebki ciasta w proszku firmy Betty Crocker. Liczyłyśmy z siostrami na to, że każda będzie obchodzić swoje urodziny podczas tej dwunastomiesięcznej misji.

– A w Kongu na pewno nie mają Betty Crocker – przewidywała matka.

– Tam, gdzie się wybieramy, w ogóle nie będzie kupujących ani sprzedających – poprawił ją ojciec. Jego ton sugerował, że matka nie uchwyciła istoty naszej misji i że jej martwienie się o to, czy będziemy miały ciasto w proszku od Betty Crocker, stawia ją w jednym rzędzie z brzęczącymi srebrną monetą grzesznikami, którzy zdenerwowali Jezusa, aż w końcu się wściekł i wywalił ich z kościoła. – Tam, gdzie się wybieramy – powiedział, żeby nie pozostawiać żadnych wątpliwości – nie będzie nawet supermarketów Piggly Wiggly. – Słysząc było, że ojciec poczytuje to na korzyść Konga. Przeszły mnie ciarki, kiedy tylko spróbowałam to sobie wyobrazić.

Matka oczywiście nie śmiała się mu sprzeciwić, ale kiedy zrozumiała, że nie ma odwrotu, zaczęła gromadzić w pokoju gościnnym wszystkie doczesne rzeczy, które jej zdaniem były nam potrzebne, żeby przetrwać.

– Absolutne minimum, dla moich dzieci – deklarowała półgłosem przez cały dzień. Oprócz ciasta w proszku zapakowała kilkanaście puszek pikantnej szynki Underwood, lusterko Rachel, zrobione z plastiku imitującego kość słoniową, z wizerunkiem pań w upudrowanych perukach, napastrzek ze stali nierdzewnej, ostre nożyczki, kilkanaście

ołówków H2, całe góry plastrów, proszki na bóle kości, proszki przeciwwymiotne, termometr do mierzenia gorączki.

I oto teraz mamy wszystkie te malownicze skarby bezpiecznie przetransportowane i zmagazynowane na czarną godzinę. Nie ma tylko proszków na bóle kości, zużytych przez matkę, i naparstka, który wpadł Ruth May do wychodka. Ale już teraz nasze zapasy wydają się symbolizować miniony świat: odcinają się jak jasne kotyliony w naszym kongijskim domu, na tle innych rzeczy, które w większości mają błotnisty kolor. Kiedy patrzę na nie ze światłem pory deszczowej w oczach i pyłem Konga w zębach, z trudem potrafię sobie przypomnieć miejsce, w którym te przedmioty były czymś pospolitym, zwyczajnym żółtym ołówkiem, zwyczajną zieloną buteleczką aspiryny pośród innych zielonych buteleczek wysoko na półce.

Matka starała się przewidzieć każdą ewentualność, łącznie z głodem i chorobą. (Ojciec, ogólnie biorąc, aprobejuje przewidywanie, ponieważ jest to umiejętność, którą Bóg obdarzył tylko człowieka). Załatwiła spory zapas antybiotyków od naszego dziadka, doktora Buda Whartona, który cierpi na starcze zniedołężnienie i uwielbia spacerować nago, ale dwie rzeczy potrafi robić doskonale: wygrywać w warcaby i wypisywać recepty. Zabrałyśmy również żeliwną patelnię, dziesięć opakowań drożdży piekarskich, sekator, ostrze topora, składaną wojskową łopatkę i mnóstwo innych rzeczy. Takie było brzemię próżnostek cywilizacji, które czułyśmy się zobowiązane dźwigać ze sobą.

Przetransportowanie choćby tego „absolutnego minimum” okazało się ciężką próbą. Kiedy uważałyśmy się za w pełni przygotowane do podróży, grom z jasnego nieba: dowiedziałyśmy się, że PanAm pozwala przewieźć przez Atlantyk tylko dwadzieścia kilo. Dwadzieścia kilo bagażu na osobę, ani grama więcej. Jakże byłyśmy zrozpaczone tą smutną nowiną. Kto by pomyślał, że nowoczesny transport epoki odrzutowej narzuca jakieś limity? Kiedy zsumowałyśmy nasze dwudziestokilowe przydziały, łącznie z przydziałem Ruth May – która na szczęście liczyła się jako cała osoba, choć była mała – przekroczyłyśmy limit o dwadzieścia siedem kilo. Ojciec omiółł wzrokiem naszą desperację, jakby od początku się tego spodziewał, i zostawił rozwiązanie tego problemu żonie i dzieciom, sugerując tylko, byśmy pomyślały o trawach polnych, które nie potrzebują lusterka ani tabletek aspiryny.

– Ale oczywiście trawy polne potrzebują Biblii i jego przeklętej

łopatki do kopania latryn – mruknęła Rachel, kiedy jej ukochane przybory toaletowe jeden po drugim wyleciały z walizki. Rachel nie potrafiła dobrze uchwycić sensu Pisma Świętego.

Choć zastosowałyśmy się do sugestii ojca, tylko w niewielkim stopniu zbliżyło nas to do celu nawet po usunięciu upiększających sprzętów Rachel. Poczuliśmy się zapędzone w kozi róg, i nagle – alleluja! W ostatniej chwili przyszedł ratunek. Na skutek przeoczenia (a może ze zwykłej uprzejmości) nie ważą pasażerów. Pomysł ten podsunął nam Związek Misyjny Południowych Baptystów – nie mówiąc nam wprost, żebyśmy naruszyły przepis o dwudziestu kilogramach – i wychodząc od tej sugestii, przygotowaliśmy plan. Wyruszyłyśmy do Afryki, niosąc cały nadbagaż na sobie, pod ubraniami. Pod którymi miałyśmy następne ubrania. Siostry i ja wyszłyśmy z domu w sześciu warstwach bielizny, dwóch halkach i kamizelce każda, na wierzch płaszcz na każdą pogodę. (Encyklopedia przestrzegała, żeby spodziewać się deszczu). Inne dobra – narzędzia, pudełka proszku do pieczenia ciasta i tak dalej – powcisnęłyśmy do kieszeni i za ściągacze, opancerzając się dźwięczną zbroją.

Pod sam płaszcz wszystkie włożyłyśmy najlepsze sukienki, żeby zrobić dobre wrażenie. Rachel miała na sobie swój wielkanocny kostium z zielonego lnu, którym tak się pyszniła, a długie, białawe włosy ściągnęła do tyłu szeroką różową opaską. Ma piętnaście lat – albo, jak ona woli mówić, idzie jej na szesnasty – i dba tylko o pozory. Na drugie imię ma Rebeccah, więc czuje się potomkinią Rebeki, dziewicy przy studni, która w Księdze Rodzaju określona jest jako „dzieweczka zbytnie śliczna”, a kiedy sługa Abrahama zobaczył ją nad wodą, natychmiast zaproponował jej złote kolczyki na prezent ślubny. (Ponieważ jest ode mnie o rok starsza, nie czuje się spokrewniona z biedną biblijną Rachelą, młodszą siostrą Lei, która musiała czekać tyle lat na zamążpójście). Siedząc obok mnie w samolocie, nieustannie trzepotała swymi rżęsami białego królika i poprawiała jasnoróżową opaskę, chcąc zwrócić moją uwagę na to, że potajemnie polakierowała sobie paznokcie pod kolor. Zerknęłam na ojca, który siedział pod oknem po drugiej stronie całego rzędu zajmowanego przez Price’ów. Za jego oknem wisiała krwistoczerwona kula słońca, która rozpaliała mu oczy, gdy wypatrywał na horyzoncie Afryki. Na całe szczęście dla Rachel miał na głowie tyle innych rzeczy. Chociaż siostra ma już piętnaście lat, zdarzało się jej brać od ojca w skórę za lakierowanie paznokci. Ale to cała Rachel, musi dołożyć sobie jeszcze

jeden grzech przed wyjazdem z cywilizowanego świata. Uważam ją za materialistkę i osobę nudną, toteż patrzyłam przez okno, za którym mallowały się ciekawsze widoki. Ojciec uważa makijaż i lakier do paznokci za sygnały, że dziewczyna wyrośnie na prostytutkę, tak samo jak przekłute uszy.

Miał też rację co do traw polnych. Gdzieś nad Atlantykiem sześć par bielizny i ciasto w proszku zaczęły być poważnym brzemieniem, a za każdym razem, gdy Rachel pochylała się, żeby pogrzebać w torebce, drugą ręką przytrzymywała żakiet, który mimo to podzwaniał z lekka. Już nie pamiętam, jakie domowe narzędzia tam schowała. Ignorowałam ją, więc gawędziła głównie z Adą – która też ją ignorowała, ale ponieważ Ada nigdy z nikim nie rozmawia, mniej rzucało się to w oczy.

Rachel uwielbia naigrawać się z całego stworzenia, ale przede wszystkim z naszej rodziny.

– Ty, Ade! – szepnęła do Ady. – A gdybyśmy tak poszły teraz na program Arta Linklettera?

Wbrew sobie roześmiałam się. Pan Linkletter lubi zaskakiwać panie, zabierając im torebki i pokazując całą ich zawartość telewizjom, którzy uważają za komiczne, jeśli zdarzy mu się wyciągnąć otwieracz do konserw albo zdjęcie Herberta Hoovera. Gdyby tak potrząsnął nami i wypadłyby wszystkie sekatory i topór... Ta myśl wprawiła mnie w zderowanie. Czułam się też klaustrofobicznie i było mi gorąco.

Nareszcie, nareszcie wymaszerowałyśmy jak bydło z samolotu i po rampie schodkowej zstąpiłyśmy w skwar Leopoldville. Po zejściu na pas nasza mała siostrzyczka z kręconymi blond włosami, Ruth May, pochylała się do przodu i zemdlała, padając na matkę.

Odzyskała przytomność bardzo szybko na lotnisku, które cuchnęło moczem. Byłam podniecona i musiałam iść do ubikacji, ale nie miałam pojęcia, gdzie młoda dziewczyna ma szukać tego przybytku w takim miejscu. W jasnym świetle na zewnątrz powiewały duże liście palmowe. Tłumy ludzi pędziły w jedną i drugą stronę.

Lotniskowa policja nosiła koszule w kolorze khaki z dodatkowymi metalowymi guzikami i – uwierzcie mi – pistolety. Gdziekolwiek się spojrzeło, maleńkie ciemne staruszki wlokły koszyki pełne przywędłych warzyw. Także kury. Koło drzwi domów czyhały bandy dzieci. Na widok naszej białej skóry natychmiast rzucały się ku nam i zebrały po francusku: *Cadeau, cadeau?* Podniosłam do góry ręce, by pokazać, że nie

przywiozłam ze sobą absolutnie żadnych prezentów dla afrykańskich dzieci. Może ludzie po prostu chowają się za drzewem i kucają, może stąd ten odór, zaczynałam sobie myśleć.

W tej samej chwili z tłumu wyszło małżeństwo baptystów i uściśnęło nam dłonie. Nazywali się dosyć osobliwie: Underdown, wielbny Underdown i pani Underdown. Przyszli, żeby przeprowadzić nas przez kontrolę celną i porozmawiać po francusku z mężczyznami w mundurach. Ojciec dał im wyraźnie do zrozumienia, że doskonale poradzilibyśmy sobie sami, ale jesteśmy im wdzięczni za ich życzliwość. Mówił to takim uprzejmym tonem, że Underdownowie nie zdali sobie sprawy, że jest wkurzony. Dalej robili zamieszanie, jakbyśmy byli starymi znajomymi, i dali nam w prezencie moskitierę, całe jej naręcza, wlokące się bez końca jak bukiet od namolnego adoratora w ogólniaku.

Kiedy stałyśmy tam, trzymając otrzymaną w darze moskitierę i pocąc się przez wszystkie warstwy garderoby, oni raczyli nas informacjami o naszym przyszłym domu, Kilandze. O, mieli bardzo dużo do powiedzenia, ponieważ mieszkali tam kiedyś ze swymi chłopcami i zapoczątkowali to wszystko, szkołę, kościół i tak dalej. W pewnym okresie Kilanga była prawdziwą misją z czterema amerykańskimi rodzinami i lekarzem, który przyjeżdżał raz w tygodniu. Teraz wszystko to podupało, powiedzieli. Nie ma już lekarza, a sami Underdownowie musieli się przenieść do Leopoldville, aby zapewnić dzieciom namiastkę wykształcenia – o ile można to w ogóle nazwać wykształceniem, powiedziała pani Underdown. Innym misjonarzom w Kilandze już dawno zakończyły się kadencje. A zatem mieliśmy tam być tylko my i służba domowa, jaką uda nam się zatrudnić. Ostrzegali nas, żebyśmy nie spodziewali się zbyt wiele. Serce tłuło się we mnie jak oszalałe, bo spodziewałam się wszystkiego: kwiatów tropikalnych, ryczących dzikich zwierząt. Królestwo Boże w swej czystej, pierwotnej chwale.

Potem, kiedy ojciec z zapalem wyjaśniał coś Underdownom, nagle wsadzili nas do maleńkiego samolotu i zostawili. Leciliśmy tylko my i pilot, który poprawiał sobie słuchawki pod hełmem. Zupełnie nas ignorował, jakbyśmy były zwykłym towarem. Siedziałyśmy niczym zmęczone panny młode udrapowane metrami białego welonu, odrętwiałe od straszego hałasu silnika samolotu, który prawie ocierał się o wierzchołki drzew. Wypompowane – jak mawiała matka. „Słoneczko, uważaj, żebyś się nie potknęła, widać, że jesteś wypompowana”. Pani

Underdown rozwodziła się ze śmiechem nad naszym, jak to określiła, uroczym południowym akcentem. Próbowwała nas nawet przedrzeźniać. Poczułam się zawstydzona naszymi prostymi wyrażeniami i przeciąganiem samogłosek, podczas gdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że mówię z jakimś akcentem, chociaż oczywiście zdaję sobie sprawę, że brzmimy zupełnie inaczej od Jankesów w radiu i TV. Miałam o czym rozmyślać, kiedy siedziałam w tym samolocie, a tak nawiasem mówiąc, wciąż chciało mi się sikać. Ale wszystkie byłyśmy już wtedy oszołomione i milczące; przyzwyczaiłyśmy się nie zajmować więcej miejsca na siedzeniu, niż nam się ucziwie należało.

W końcu wylądowaliśmy z podskokami na polu wysokiej żółtej trawy. My wszystkie wyskoczyłyśmy z naszych siedzeń, ale ojciec, ze względu na swą pokąźną posturę, nie mógł stanąć wyprostowany w samolocie, tylko zgarbił się jak staruszek. Zmówił szybką modlitwę:

– Ojcze Niebieski, proszę, uczyn mnie skutecznym narzędziem Twojej nieomyślnej woli tu w belgijskim Kongu. Amen.

– Amen! – odpowiedziałyśmy, a potem wyprowadził nas przez owalne drzwiczki na światło.

Przez moment stałyśmy, mrugając, wpatrzone przez kurz na setkę ciemnoskórych mieszkańców wioski, szczupłych i milczących, lekko rozkołysanych jak drzewa. Zostawiłyśmy Georgię w środku rozkwitającego brzoskwiniami lata, a teraz stałyśmy w zadziwiającej mgielce, suchej i czerwonej, która nie kojarzyła się z żadną określoną porą roku. We wszystkich tych warstwach ubrania, które miałyśmy na sobie, musiałyśmy przypominać rodzinę Eskimosów, która spadła z nieba do dżungli.

Ale to było nasze brzemię, ponieważ potrzebowałyśmy zabrać tam ze sobą tak dużo rzeczy. Każda z nas przybyła obarczona jakimś ważnym przedmiotem: młotkiem do wbijania gwoździ, baptystowskim śpiewnikiem; każdy wartościowy przedmiot zajął miejsce czegoś frywolnego, co miałyśmy siłę woli zostawić w domu. Nasza podróż miała się okazać wielkim ćwiczeniem z umiaru. Ojciec oczywiście przywoził Słowo Boże – które na szczęście nic nie waży.

Ruth May Price

BÓG MÓWI, ŻE AFRYKANIE to potomkowie Chama. Cham był najgorszym z trzech synów Noego: Sema, Chama i Jafeta. Każdy pochodzi w swoim drzewie geologicznym od kogoś z tej trójki, ponieważ Bóg zrobił wielką powódź i potopił wszystkich grzeszników, ale Sem, Cham i Jafet wsiedli na łódkę i się uratowali.

Cham był najmłodszy, tak jak ja, i był niedobry. Czasami ja też jestem niedobra. To się stało, kiedy wszyscy zeszli z arki i wypuścili zwierzęta. Któregoś dnia Cham znalazł swojego ojca Noego pijanego jak świnia na podłodze namiotu i uznał to za dowcip sezonu. Dwaj pozostali bracia przykryli Noego kocem, ale Chamowi pękły portki ze śmiechu. Kiedy Noe się obudził, bracia Chama wypaplali mu wszystko i Noe przeklął wszystkie dzieci Chama, które miały na zawsze pozostać niewolnikami. Dlatego zrobili się czarni.

U nas w Georgii mają własną szkołę, żeby nie przyłazili tam, gdzie uczą się Rachel, Lea i Ada. Lea i Ada są dziećmi szczególnie uzdolnionymi, ale muszą chodzić do tej samej szkoły co wszyscy. Ale nie dzieci kolorowe. Pastor w kościele powiedział, że są od nas inni i muszą się trzymać osobno. Jimmy Crow tak mówi, a on ustala prawa. Nie przychodzą też do restauracji White Castle, gdzie mama zabiera nas na coca-cole, ani do zoo. Oni mogą przychodzić do zoo w czwartki. Tak jest napisane w Biblii.

W naszej wiosce będzie raz, dwa, trzy... sześcioro białych: ja, Rachel, Lea, Ada, mama i ojciec. Rachel jest najstarsza, ja najmłodsza. Lea i Ada są pośrodku i są bliźniaczkami, więc może powinny się liczyć za jedną osobę, ale ja myślę, że za dwie, bo Lea wszędzie biega i wspina

się na drzewa, ale Ada nie może, jest chora po całej jednej stronie i nie mówi, bo ma uszkodzony mózg, i wszystkich nas nienawidzi. Czyta książki od tyłu. Powinno się nienawidzić tylko Diabła, a wszystkich innych kochać.

Nazywam się Ruth May i nienawidzę Diabła. Długo myślałam, że mam na imię Słoneczko. Mama zawsze tak mówi. „Słoneczko, chodź tu na chwilkę. Słoneczko, no nie rób tak”.

W szkółce niedzielnej Rex Minton powiedział, żebyśmy nie jechali do Konga, bo tam są ludożercy, co nas ugotują w kotle i zjedzą. Powiedział: ja umiem mówić tak jak krajowcy, posłuchajcie: Ugga bugga bugga lugga. Powiedział, że to znaczy „mam nóżkę tej małej z kręconymi słomianymi włosami”. Nasza nauczycielka w szkółce niedzielnej, panna Bannie, kazała mu się uciszyć, ale nic nie mówiła, czy to prawda z tym gotowaniem w kotle i zjadaniem, więc w sumie nie wiem, co z nami będzie.

Z innych białych ludzi, których spotkaliśmy w Afryce, jest jeszcze pan Axelroot, który sterował samolotem. Ma przeokropnie brudny hełm. Kiedy tutaj przylatuje, mieszka w baraku hen koło lądowiska i mama mówi, że jak na niego, to i tak za blisko porządnych ludzi. Są jeszcze wielebny Underdown z żoną, którzy wiele lat temu zaczęli posyłać afrykańskie dzieci do kościoła. Underdownowie rozmawiają ze sobą po francusku, chociaż są biali. Nie wiem dlaczego. Mają dwóch synów, którzy są duzi i chodzą do szkoły w Leopoldville. Zrobiło im się nas żal, więc przekazali przez rodziców komiksy, żebyśmy wzięły do samolotu. Prawie wszystkie zabrałam ja, kiedy Lea i cała reszta zasnęła w samolocie. *Kaczor Donald. Jeździec Znikąd.* I te z bajkami, *Kopciuszek* i *Śpiąca Królowna*. Schowałam je w jednym miejscu. Kiedy źle się poczułam w samolocie i podeszło mi do gardła, to wywaliłam wszystko z siebie na torbę „jamnika” i na *Kaczora Donalda*. Włożyłam go pod siedzenie, więc go już nie mamy.

Więc oto kto będzie mieszkał w naszej wiosce: rodzina Price’ów, Jeździec Znikąd, Kopciuszek, Śpiąca Królowna i potomkowie Chama.

Rachel Price

O JENY, ALE SIĘ wpakowaliśmy, myślałam sobie o Kongu od chwili, gdy wysiedliśmy z samolotu. Niby mamy tu wziąć sprawy w swoje ręce, ale nie wygląda mi na to, żebyśmy mieli zbyt wiele do powiedzenia, nawet co się tyczy nas samych. Ojciec planował wielkie spotkanie modlitwne jako ceremonię powitalną, dla pokazania, że to Bóg nas tu przysłał i zamierza osadzić na stałe. Ale kiedy wysiedliśmy z samolotu i wytoczyliśmy się z bagażami na lądowisko, Kongijczycy otoczyli nas śpiewającą czeredą. Na pewno czarownik rzucił na nich wcześniej urok. Kręciło nam się w głowie od woni spoconych ciał. Powinnam była włożyć sobie do torebki te wkładki zapachowe, które wystarczają na pięć dni.

Rozejrzałam się za siostrami, żeby im powiedzieć: „Hej, Ada, Lea, nie cieszyście się, że używacie mydła Dial? Nie byłoby źle, gdyby wszyscy używali, no nie?”. Nie mogłam znaleźć żadnej z bliźniaczek, ale zobaczyłam Ruth May, która szykowała się do drugiego omdlenia tego dnia. Wywinęła oczy do góry, tak że widać było prawie same białka. Widziałam, że stara się, jak może, żeby nie stracić przytomności. Ruth May jest zaskakująco uparta jak na pięcioletnie dziecko i nie chce przegapić żadnej ciekawej sytuacji.

Mama wzięła ją za rękę i mnie też – coś, czego bym nie zdzierżyła u nas w Bethlehem. Ale tutaj w całym tym rwetesie zgubiłybyśmy się, po prostu uniosła nas wielka, ciemna rzeka ludzi. A pył, jeny! Pył był wszędzie, jak czerwona kreda, a ja włożyłam na wierzch elegancki żakiet z zielonego lnu, co za głupota. Czułam piasek we włosach, które są tak jasne, że bardzo łatwo się brudzą. Rany, co za kraj. Już tęskniłam za spłuczkami, wypranymi w palce ubraniami i innymi zwykłymi rzeczami, które, jak sądziłam, ma każdy.

Krajowcy zagonili nas na takie jakby zadaszone patio bez żadnej posadzki, a potem się okazało, że to ma być kościół naszego ojca. Ale nic z tych rzeczy, tego dnia nie było w programie żadnych nabożeństw. Wylądowaliśmy pod tym słomianym dachem, a potem o mało co nie krzyknęłam, kiedy zdałam sobie sprawę, że trzymam za rękę nie matkę, lecz wielką brązową łapę kogoś obcego! Grunt usunął mi się spod nóg. Wyszarpnęłam dłoń i ziemia zawirowała pode mną. Rozejrzałam się panicznie wokół siebie jak Czarny Książę* pośród płomieni. Wreszcie zobaczyłam białą szmizjerkę matki, która powiewała blisko ojca jak flaga „Poddajemy się!”. Potem, kolejno, odszukałam pastelowe kształty sióstr, podobne do balonów na imprezie, ale trafiłyśmy na niezłą imprezę, o jeny. Już wtedy wiedziałam, że wdepłam w niezłe bagno. Z kolei ojciec wprost ociekał wdzięcznością, składał dzięki Jezusowi za sytuację, która dawała nam szansę wykazania się hartem ducha.

Rozpaczliwie potrzebowałyśmy się przebrać – nadliczbowa bielizna i sukienki ciągnęły nas do ziemi – ale nie było na to żadnej szansy. Najmniejszej. Wrzucono nas w sam środek pogańskiego pantymonium. Nie mam pojęcia, co się wtedy stało z naszymi walizkami i płóciennymi torbami. Moje tamborki do haftowania i sekator w ceratowym futerale wisiały mi na szyi, zagrażając mnie i innym w tej przepychance. Wreszcie pozwolono nam usiąść przy stole, tak ściśnięte, jak to jest fizycznie możliwe, na oleistej ławce zrobionej z nieheblowanych kłód drzewa. Pierwszy dzień w Kongu, a tutaj mój nowiutki seledynowy kostium z kwadratowymi guzikami z macicy perłowej, skrojony w kształcie tulipana, właśnie wydawał ostatnie tchnienie.

Musiałymy siedzieć tak blisko innych ludzi, że nie było miejsca na oddychanie, nawet gdyby ktoś miał ochotę, zważywszy, że można było w ten sposób złapać wszystkie zarazki, jakie istnieją na świecie. Jeszcze jedna rzecz, którą powinnyśmy były zabrać: listeryna. Czterdzieści pięć procent mniej przeziębień. Ryk głosów i dziwnych ptaków grzmiał mi w uszach i szczelnie wypełniał głowę. Jestem wrażliwa na wszelkie hałasy – od tego i od jasnego słońca boli mnie głowa, ale przynajmniej słońce już wtedy zaszło. Pewnie poszłabym za przykładem Ruth May i zemdłała albo zerzygała się – były to dwa jej wielkie wyczyny tego dnia. Czulałam się tak, jakby ktoś szczypał mnie w kark i grzmocił w serce jak

*Nawiązanie do konia będącego bohaterem książki dla dzieci Anny Sewell z 1877 roku.

w bęben. Na jednym końcu kościoła rozpalili okropne, huczące ognisko. Tłusty dym wisiał nad nami jak sieć, gromadząc się pod słomianym dachem. Odór był na tyle silny, że każde zwierzę by się od niego udusiło. Wewnątrz jasnopomarańczowego pierścienia ognia widziałam coś ciemnego, nakłutego na rożen i obracanego wkoło; stworzenie to rozpaczliwie wzywało pomocy wyrzuconymi do góry czterema łapami. Kobięca intuicja mówiła mi, że przeznaczone mi jest umrzeć w tej właśnie chwili, bez dłoni matki, która pomacałaby mi czoło. Pomyślałam o kilku sytuacjach, kiedy próbowałam – przyznając – dostać gorączki, żeby nie musieć iść do szkoły albo do kościoła. Teraz huczał mi w skroniach prawdziwy ogień, wszystkie gorączki, o które prosiłam, wreszcie na mnie spłynęły. Natychmiast zrozumiałam, że szczypanie w kark to matka.

Miała nas wszystkie w zasięgu swych długich ramion: Ruth May, mnie i moje siostry Leę i Adę; Ruth May była bardzo mała, ale Lea i Ada były całkiem spore jak na bliźniaczki, Ada niższa przez swoje upośledzenie. Przerasta mnie, w jaki sposób matka potrafiła nas tak trzymać wszystkie cztery. A to walenie serca, o którym mówiłam, to nie było serce, tylko bębny. Mężczyźni tłukli w duże, kłocowate bębny, a kobiety śpiewały piskliwe, szybkie melodie jak ptaki, które zwariowały od pełni księżyca. Śpiewały w swoim języku: zaczynała wodzirejka, a kończyła reszta grupy. Pieśni te brzmiały tak dziwacznie, że dopiero po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę, że powielają melodię chrześcijańskich hymnów, *Onward Christian Soldiers* i *What a Friend I Have in Jesus*. Ścierpła mi skóra, kiedy to sobie uświadomiłam. Pewnie miały prawo je śpiewać, ale wyobraźcie sobie: parę metrów od nas nagie kobiety stały w świetle ogniska z nagimi piersiami jak jajka sójki. Niektóre tańczyły, a inne krzątały się przy gotowaniu, jakby nagość nie była niczym szczególnym. Latały tam i z powrotem z garnkami i kociołkami, wszystkie miały piersi na wierzchu i nie wstydziły się tego. Były bardzo zajęte płonącym w ogniu zwierzęciem, rozrywały je teraz na kawałki i mieszały z czymś, co parowało w garnku. Kiedy się pochylały, ich ciężkie piersi kołysały się jak balony napełnione wodą. Odwracałam wzrok od nich i od gołych dzieci, które trzymały się ich długich spódnic. Stale zerkałam na ojca i zastanawiałam się: Czy tylko ja jedna jestem tak kompletnie zaszokowana? Miał zwężone oczy i zaciśnięte zęby, jakby zaraz miał urządzić straszną awanturę.

Po długim seansie tak zwanych hymnów, którymi kobiety przekrzykiwały się między sobą, ofiara całopalna przepoczwarzyła się w szarawą, dymiącą gęstą zupę w kotle. Zaczęły ją stawiać przed nami na cynowych talerzach albo miskach. Jako łyżki dały nam wielkie metalowe chochle – wiedziałam, że coś takiego w życiu nie zmieści mi się w ustach. Mam takie małe usta, że zęby mądrości muszą się w nich potwornie rozpychać. Rozejrzałam się dokoła, z kim by się tu można zamienić na łyżkę, a tu co widzę: tylko nasza rodzina miała jakiegokolwiek sztucce! Nie podjęłabym się wtedy przewidywać, co inni zamierzają zrobić ze swoim jedzeniem. Większość z nich wciąż czekała, aż zostaną obsłużeni, jak padlinożerne ptaki. Podnieśli do góry swoje metalowe miski, kołpaki samochodowe – czy co to tam było – i radośnie tłukli w nie jak w bębny. Brzmiało to jak orkiestra ze złomowiska, każdy talerz był inny. Ruth May dostała małą miseczkę i wiedziałam, że nie jest zadowolona, bo wyglądała przez to jeszcze bardziej jak niemowlę.

W całej tej wrzawie ktoś mówił coś po angielsku. Nagle zdałam sobie z tego sprawę. Bardzo trudno było powiedzieć, co jest grane, bo ludzie wokół nas śpiewali, tańczyli, tłukli w talerze, kołysali podniesionymi ramionami na boki jak drzewa podczas huraganu. Ale koło ogniska, tam, gdzie gotowali, czarny jak węgiel mężczyzna w żółtej koszuli z podwiniętymi rękawami gestykulował do nas i wrzeszczał na cały głos: „Zapraszamy! Zapraszamy was!”.

Za nim był inny mężczyzna, znacznie starszy i w stroju zupełnie nie z tego świata; z czymś wysokim na głowie, w okularach i powłóczyściej płóciennej szacie machał na boki zwierzęcym ogonem. Wydarł się w ich języku i wszyscy odrobinę się uciszeli.

– Wielebny, pani Price i wasze dzieci! – zawołał młody mężczyzna w żółtej koszuli. – Zapraszamy na naszą ucztę. Dzisiaj zabiliśmy kozę, żeby uczcić wasz przyjazd. Niedługo wasze brzuchy będą pełne naszego *fufu pili-pili*.

Pólnagie kobiety za jego plecami ni z tego, ni z owego zaczęły kłaskać i wznosić okrzyki, jakby nie mogły już dłużej powściągnąć radości z powodu zabicia kozy.

– Wielebny Price – powiedział mężczyzna – proszę, podziękuj wraz z nami za tę ucztę.

Pokazał ręką, żeby ojciec wstał, ale ojca nie trzeba było namawiać; stał już na krześle, przez co wyglądał, jakby miał trzy metry wzrostu.

Był w samej koszuli, co nie stanowiło zaskakującego widoku, ponieważ należał do ludzi, którzy dobrze się czują w swojej skórze, i w ferworze kazania często zrzucał z siebie marynarkę. Plisowane czarne spodnie ciasno spiął paskiem, lecz klatkę piersiową i ramiona miał ogromne. Już prawie zdążyłam zapomnieć, że pod tą czystą białą koszulą przewozi liczne niebezpieczne narzędzia.

Ojciec powoli podniósł nad głowę jedną rękę, jak ci bogowie w czasach rzymskich, szykujący się do posłania na ziemię piorunów i błyskawic. Wszyscy patrzyli na niego uśmiechnięci, klaskali, machali rękami nad głową, gołe piersi kolebały się. Potem zaczął mówić. Była to nie tyle mowa, co nadciągająca burza.

– Pan jedzie na prędkiej chmurze – powiedział niskim, groźnym głosem – i przybędzie do Egiptu.

Hurra! – zachwycili się wszyscy, ale ja poczułam supeł w żołądku. O jeny, to spojrzenie, Mojżesz zstępuje z Góry Cyjańskiej z dziesięcioma nowymi receptami na uprzykrzenie ci życia.

– Do Egiptu – krzyknął swym śpiewnym kaznodziejskim głosem, który wznosi się i opada, potem wznosi się jeszcze wyżej i opada jeszcze niżej, jak piła tnąca pień drzewa – i do każdego zakątka ziemi, na który światłość Jego... – przerwał, piorunując wzrokiem dokoła – na który światłość Jego jeszcze nie spłynęła!

Ucichł, by zacerpnąć tchu, i zaczął znowu, kołyszając się nieznacznie:

– Pan przybywa w osobie swych aniołów miłosierdzia, Jego posłańców świętości, do miast na równinie, gdzie Lot mieszkał pośród grzeszników!

Radosne owacje przygasały. Wszyscy uważnie słuchali.

– I powiedział Lot do grzeszników, co tłoczyli się u drzwi jego, wołam do was, nie czyńcie, proszę, bracia moi, nie czyńcie tej złości. Albowiem grzesznicy z Sodomy obstarpi dom jego.

Ciarki mnie przeszły. Naturalnie znałam rozdział 19 Księgi Rodzaju, który kazał nam raz po raz przepisywać. Nie cierpię tego fragmentu, w którym Lot zaproponował własne córki dziewice tłuszczy grzeszników, aby uczynili z nimi, co zechcą, po to, by zapomnieli o składających wizytę aniołach Bożych i zostawili ich w spokoju. Cóż to za transakcja? No i jego biedna żona, która zamieniła się w słup soli.

Lecz ojciec opuścił to wszystko i przeszedł od razu do ponurych konsekwencji:

– Wysłańcy Boży zgładzili grzeszników, co nie mieli wstydu przed wejrzeniem Pańskim, nie wstydzili się swej nagości.

Przerwał, zastygł w idealnym bezruchu. Potem wyciągnął wielką dłoń w stronę wiernych, zapraszając ich bliżej. Drugą ręką pokazał na kobietę blisko okna. Jej wielkie, długie piersi zwisały płasko jak przyprasowane, lecz ona zdawała się nie zwracać na to uwagi. Na biodrze trzymała długonogie dziecko, a wolną ręką drapała się po głowie z krótkimi włosami. Rozglądała się wokół siebie speszona, bo każda para oczu w ślad za oskarżycielskim spojrzeniem ojca była wycelowana w jej nagość. Kobieta podrzuciła dziecko wyżej na biodrze, aż mu się głowa zatrzęsła. Chłopak miał na głowie czerwonawe kępki włosów i sprawiał wrażenie oszołomionego. Przez trwającą całą wieczność chwilę milczenia matka stała w centrum uwagi, odginając głowę do tyłu ze strachu i zdziwienia. Wreszcie odwróciła się, wzięła do ręki długą drewnianą łyżkę i zaczęła mieszać w kotle z duszonym mięsem.

– Nagość – powtórzył ojciec – i ciemność duszy! „Zgładzimy bowiem to miejsce, przeto iż przemógł krzyk ich przed Panem, który nas posłał, abyśmy je wytracili”.

Nikt już nie śpiewał i nie wrzeszczał. Nie wiem, czy zrozumieli zwrot „przemógł krzyk”, ale w każdym razie żadnego krzyku nie było. Przestali nawet oddychać, a przynajmniej tak się wydawało. Ojciec potrafi wiele zdziałać samym tonem głosu, uwierzcie mi. Kobieta z dzieckiem na ręku dalej stała do nas plecami i zajmowała się jedzeniem.

– „Wyszedłszy tedy Lot, mówił do zięciów swoich, którzy mieli pojąć córki jego”. – Teraz ojciec mówił łagodniejszym, opadającym tonem. – „Wstańcie, wynidźcie z miejsca tego, bo zatraci Pan miasto to”. Módlmy się – zakończył, nagle wracając z powrotem na ziemię. – Panie Jezu, spraw, by ci z nas, którzy są tego godni, przemogli swą grzeszność i zaznali cudownej światłości Ojca Twego. Amen.

Wszystkie głowy wciąż były skierowane w stronę mojego ojca, jakby były błyszczącymi, ciemnymi roślinami, a jego czerwona głowa słońcem. Lecz wyraz ich twarzy w zwolnionym tempie przeszedł od radości do zmieszania, a potem przerażenia. Teraz, gdy czar prysł, ludzie zaczęli mrużyć pod nosem i kręcić się. Kilka kobiet podciągnęło sarongi i owinęło sobie wokół tułowia, żeby zasłonić piersi. Inne gromadziły swe dzieci, które świeciły gołymi tyłkami, i zabierały je w ciemność. Wyglądało na to, że kładą je do łóżka z pustym żołądkiem.

W głębokiej, czarnej nocy wokół nas nie słychać było żadnych dźwięków prócz cykania świerszczy.

Nie było innego wyjścia, jak zabrać się do jedzenia. Mając na sobie wzrok wszystkich, moje siostry i ja podniosłyśmy wielkie metalowe łyżki. Jedzenie, które przed nami postawili, wyglądało jak mokre grudy bez żadnego smaku, które trzeba będzie rozgryźć na papkę. Kiedy jednak wzięłam do ust pierwszy kęs, język zaczął mi płonąć. Czułam się tak, jakby ktoś przypalał mi od wewnątrz bębenki uszu. Łzy nabiegły mi do oczu i nie mogłam przełknąć. Pomyślałam, że zaczyna się czarny okres dla dziewczyny, której jedyną ambicją na ten rok było urządzić porządne przyjęcie na szesnaste urodziny i dostać w prezencie pulower i kardigan z różowego moheru.

Ruth May zakrztusiła się głośno i skrzywiła makabrycznie. Matka pochyliła się, żeby ją trzepnąć w kark, jak sądziłam, ale zamiast tego szepnęła do nas okropnym syczącym głosem:

– Macie być uprzejme, dziewczęta, słyszycie? Przykro mi, ale jeśli wypłujesz, to cię spiorę na kwaśne jabłko.

Mama, która nigdy nie podniosła na nas ręki, mówi takie rzeczy! Już pierwszego wieczoru w Afryce wyraźnie zobaczyłam, co nas czeka. Siedziałam, oddychając przez nos, i trzymałam w ustach kawałek czegoś płonącego i kępę sztywnego włosa ze spalonej skóry martwej kozy. Zamknęłam oczy, ale łzy nie przestały płynąć. Płakałam za grzechy wszystkich, za których sprawą moja rodzina znalazła się w tej okropnej, mrocznej krainie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).